LITERATURA BUŁGARSKA

CHRISTO BOTEW
(1847—1876)

PIEŚŃ O CHADŻIM DMITARZE

On żyje, żyje! W górach, wysoko
na czarnych głazach bezsilny leży,
rany spłynęły krwawą posoką
i do zszarpanej przyschły odzieży.

Skrwawiona szabla podal rzucona,
działo pęknięte gardziel swą szczerzy. —
Nie, Chadżi Dmitar jeszcze nie skona —
on w swoje szczęście, w gwiazdę swą wierzy.

W dolinach złote dojrzewa zboże,
płyną już echem pieśni żniwiarzy...
Dmitar powieką ruszyć nie może,
lecz o żniwiarce dalekiej marzy...

Żniwo, wesele. A pieśń, żałośnie
jak dym z kadzielnic, powstaje z dolin:
serce się z jarzmem nigdy nie zrośnie —
jak Chadżi Dmitar, zechce wyzwolin!

Obyś żył wiecznie, jasny rycerzu,
obyś prowadził na lute boje;
słońce, odbite w twoim puklerzu,
unieśmiertelni szaleństwo twoje!

Na czarnych głazach witeź spoczywa —
wilk, druh serdeczny, liże mu rany,
orzeł od słońca skrzydłem zakrywa,
sokół na skale siadł zadumany...

Wieczór zapada, i księżyc blady
sierpem ze złotych gwiazd się naśmiewa —
szumią zarośla, szumią kaskady,
sam Bałkan pieśni junackie śpiewa.

Podchodzą wile, trwożne, ciekawe,
zwabione śpiącym bez krwi młodzieńcem...
Śpiewając, kładą się na murawę
ciał swoich białych kuszącym wieńcem...

Jedna mu śpieszy opatrzyć ranę,
druga mu wodę u źródła czerpie,
trzecia podaje usta różane —
Dmitar uśmiechem mówi: «Mniej cierpię.

«Gdzie Karadżyjskie szerokie pola?
«Powiedzcie, siostry, gdzie, w której stronie?
«Tam druhów moich zła zmaga dola —
«pomóżcie, siostry, — niech ich dogonię...»

Zadrżały nagle spłoszone wile,
o młode życie Chadżiego trwożne,
rade mu ciężkie osłodzić chwile —
nucą — pieszczotne, ciche, ostrożne...

Wschodzi jutrzenka ponad Bałkany,
Dmitar do boju rwie się od wieka —
wilk, druh serdeczny, liże mu rany,
a złote słońce z wyżyn dopieka.

Tłum. Edward Ligocki.

POWIESZENIE WASYLA LEWSKIEGO [1]

O, matko moja, miła, rodzona,
Nad czem tak rzewnie, żałośnie płaczesz?
I ty tam, kruku, ptaku przeklęty,
Nad czyim grobem tak groźnie kraczesz?

Ach, wiem, rozumiem: ty płaczesz, matko,
Nad tem, co wolnych rabami czyni,
Nad tem, że święty głos twój, o, matko,
Jest tak bezradny i brzmi w pustyni.

---

[1] Jeden z przywódców bułgarskiego ruchu rewolucyjnego przed odzyskaniem niepodległości w r. 1878; pochwycony przez władze tureckie, zginął na szubienicy.

Płacz! Tam, sterczący przy mieście Sofji,
Pień szubienicy czarnej widziałem,
A na niej, słyszysz? syn twój, Bułgarjo,
Zawisł i cięży potężnem ciałem.

I kraczą kruki groźnie, złowieszczo,
Wycie psów, wilków na pola leci,
Starcy się modlą kornie do Boga,
Płaczą niewiasty i kwilą dzieci.

Zima złe pieśni swoje zawodzi,
Wicher cierniami zasiewa pole.
Chłód bez litości, płacz bez nadziei
Budzą w twem sercu smutki i bole.

Tłum. Leonard Podhorski-Okołów.

IWAN WAZOW
(1850—1921)

W NADZIEI

Nie, nie wierzę, by bez końca
Nasza bieda była,
Wiem, że kiedyś się podniesie
Ta Bułgarja miła.

Lepsze dni nam zaświtają,
Znikną mroczne cienie,
I duch wielki u nas zbudzi
Nowe pokolenie.

Ach, ojczyzno, wiara w tobie
Stłumi wnętrzne boje
I w zapale swym zrozumiesz
Powołanie twoje.

Świat cię, kraju mój uroczy,
Będzie witał mile,
Ale wtedy... wtedy pewno
Będę spał w mogile.

WOLOW [1]

Niedobitki przed dzikim wrogiem precz pierzchały.
Z nimi był junak Wolow, krwią oblany cały,
I tak wołał: O Boże! jakaż piekieł zdrada!
Powstanie utłumione, z niem nadzieja pada,
A przed haniebną śmiercią gdzież się ukryć mamy?

Bałkany:

My was nie przepuścimy przez skaliste tamy.

Miasto:

Dla was mam szubienicę.

Chata:

Ja skargi, zaklęcia.

Rzeka Jantra:

Nuże więc, nieszczęśliwi, pójdźcie w me objęcia.

DO...

Nie mów mi więcej o swej miłości,
Przestań się chlubić twą krasą lica,
Widziałaś przecie, co w sercu gości,
Jaki w niem ogień, ból i tęsknica.

Jak w przepaść, wpadłem w namiętność złudną,
Do dna wypiłem rozkosz z kielicha,
Poznałem jednak, jak znaleźć trudno
Szczęście, za którem serce wciąż wzdycha.

---

[1] Jeden z bohaterów powstania bułgarskiego; ścigany przez Turków, rzucił się wraz z towarzyszami do rzeki Jantry.

Złamanej duszy ból już nie rani,
Nie szukam w burzach wieńca dla czoła
I tylko zimno patrzę dokoła,
Czy niema dla mnie... cichej przystani.

Tłum. Bronisław Grabowski.

POPATRZCIE NA NAS — TU!

Ten głos jak błędny ognik przede mną ciągle miga,
Wśród karczm i chat, i pól wciąż wola mnie i ściga...
W wiejskiej jestem chacie i oknem pośród bzu
Spoglądam na tę nędzę, co wola w głos puszczyka:
«Popatrzcie na nas — tu!»

Czad, dym i kurz — ciemna, brudna chata
Ludzi i bydlęta ze sobą społem brata,
Złączonych ślubem biedy, wśród ciężkiego snu
W spoczynku-zapomnieniu Śmierci kryje szata...
«Popatrzcie na nas — tu!»

Straszna jest władczyni, której ludem — «głodni»,
Siostrzyca to rozpaczy, a kochanka zbrodni!
Chleb czarny, sprószony, a stęchły nawpół
Łykają ostrem gardłem ci ludzie — «niegodni»!
«Popatrzcie na nas — tu!»

Popatrzcież na nas! — usłyszcież głos łkany,
Wy! wielce łaskawi, wielmożne wy pany!
Jedną jeszcze rozrywkę do stu
Dodajcie i patrzcie na nasze łachmany, —
«Popatrzcie na nas — tu!»

Tłum. Tau-Gama.

JĘZYK BUŁGARSKI

Języku święty, skarbie moich dziadów,
języku męki, jęków wielowiecznych,
języku takich, którzy się do jadów
na świat rodzili, nie do lśnień słonecznych!

Języku cudny — każdy-ć wzgardą mierzy,
nikt nie osłania cię od szyderstw męki.
Czyż się kto dotąd wsłuchał, jak należy,
w melodję twoją, w twoje słodkie dźwięki?

Kto moc tę pojął, te cudów tysiące,
co ma je w sobie giętka twoja mowa,
czar, którym dyszą tony jej perlące,
jej rozmach żywy i dobitność słowa?

Nie! Oplątano-ć powszechną pogardą,
skalano-ć drwiną i słowami złemi.
Swoi i obcy, jedną zgrają hardą,
depcą-ć, męczeńska mowo naszej ziemi!

Bo nie zdołałeś — ponoć — dobyć z siebie
dźwięku, godnego myśli twórczej, górnej —
i choć twój genjusz w pieśniach się kolebie,
ty grzęźniesz w nędznej gwarze chaty kurnej.

...Wciąż słyszę o tem, odkąd-em na świecie!...
Dość mi już, przebóg, tych wymysłów chóru!
Dość, że się podłość wciąż z oszczerstwem plecie,
by, co nam drogie, oplwać tak do wtóru!

Ach, ja ten czarny wstyd twój biorę sobie;
on będzie chlebem mojemu natchnieniu,
i w jasne dźwięki tak go przyozdobię,
że dam przyszłemu z dumą pokoleniu.

Ach, ja-ć oczyszczę od skalań i zmazy
i w czystym blasku twoim cię pokażę.
Twej krasy mocą zadam takie razy,
że tłum bluźnierców na wieki ukarzę!

Tłum. Antoni Bogusławski.

CZY IDZIE?
(w skróceniu)

Jakaż mgła, cóż za gęsty tuman spadł tej jesieni na Wetren! Wilgotno, mokro; drobny deszcz rosi, niebo roztopiło się w zimną parę i przygniotło niskie wiejskie chaty. A na pełnej błota ulicy hałas, krzyk, tłum ludzi. Powozy, zaprzęgnięte w chude koniska, fury, ciągnione przez woły, napełnione wojskowym sprzętem, chłopi - furmani, bydło — wszystko to zapycha ulicę między dwiema gospodami.

Wśród tego zamętu przebija się wojsko, złożone ze świeżych rekrutów; jedni są okryci w wojskowe płaszcze, inni w kożuchy z włosem nawierzch wywróconym; po większej części zarzucili podarte czergi[1], przerobione na jamurłuki[2], w przemokniętych cerwulach[3], przepasani patrontaszami, z karabinami na ramionach, ozdobionemi zielskiem; na karabinach wiszą porozpychane torby... Zimno, błoto po kolana, chlapanina do djabła, a ci śpiewają i śpiewają... Weseli «pieczyngowie»! Tak nazywano rumelijską milicję.

Przy drzwiach karczmy stoi gromada oficerów; przechodnie i zdziwieni wieśniacy gapią się ciekawie na przemokłych junaków. Przed środkową gospodą ustawiły się gromady kobiet, dziewcząt, dzieci — obszarpanych, drżących i czerwonych z zimna. Wszyscy oni witają i żegnają chyba po raz setny wetreńskich żołnierzy, którzy teraz idą z pułkiem do Harmanli, gdzie ruszyli na wojnę z Turkami, i szybko mijają Sofję, a stamtąd — maszerują na pole walki, na wojnę z Serbami.

— Patrzcie, syn Jura! Szczęśliwej drogi, Cwetko!

— O, popatrzcie, Rangieł przechodzi!

— A tu, ten od Nedelki! Hej, Janie, oto tu twoja matka.

I szybko podają dziewczęta wiązanki kwiatów, i łzy spływają po policzkach, i padają urywane słowa... a wojsko idzie wciąż naprzód, wciąż naprzód.

— Mamo! Tam brat — woła tu różowa jasnowłosa dziewczyna.

— Bracie Stojanie! — krzyczy ośmioletni chłopak, stojący przy dziewczynce, i wyciąga ręce w stronę wojska.

— Synku, synku! — woła z płaczem matka.

Pokazuje się czarnooki, zgrabny, zdrowy junak, wychodzi z oddziału, całuje matkę w rękę, siostrę i brata w czoło, przypina bukiecik na piersi, kilka kwiatów zakłada za ucho — podała mu je jakaś dziewczyna. Porywa się i biegnie, by dopędzić wojsko i pieśń.

— Synku, niech cię Bóg prowadzi — jęczy matka.

— Stojanie! — woła tracąca zmysły dziewczyna.

Ale głos ich głuchnie w zamęcie. Stojan ginie wśród żołnierzy, a żołnierze we mgle.

---

[1] Dywaniki samodziałowe. [2] Płaszcze żołnierskie. [3] Chodaki.

Matka spogląda wdal, ale nic nie widzi.

Dziewczyna podnosi kolorowy kraj zapaski i zakrywa twarz. Matka Stojana, wróciwszy do izby, rozełkała się, otworzyła starą popękaną skrzynię, powyjmowała koszule i okrycia kobiece i wydobyła z dna gromnicę, przylepiła ją przy ikonostasie i poczęła bić do ziemi pokłony.

A w tym czasie grały armaty pod Dragomanem. Było to 4-go listopada 1885 roku.

—

Nastąpił pokój.

Nadeszło Boże Narodzenie i żołnierze wracali na urlop. Do Wetren powróciło też kilku. Tylko Stojencza niema — ani jego, ani jakiejkolwiek wieści. Zmartwiła się stara Cena, zatroszczyła; do głowy przychodzą jej złe myśli... mijają dni, ona wciąż spogląda ku drzwiom, czy może zapuka. Oto już wrócił Rangieł Stojnow, jest już Piotr, syn Dymka też wrócił, przyszli też bracia Stamata. Przystaje, chodzi, pyta się — nic nie wiedzą. Widywali Stojana przez jakiś czas, potem go stracili z oczu. Prawie że umiera babina z trwogi, kręci się jak nieprzytomna po chałupie i myśli o Stojenczu.

— Mamo, wrócił wujków Dymitr — woła jej córka Kina, skoczywszy zadyszana od wrót.

Cena wstaje i za chwilę podchodzi do Dymitra.

— Witajcie, Dymitrze! A gdzie został Stojan?

Ale i Dymitr nic nie wie... Może go wysłali w stronę Widynia — robi przypuszczenie Dymitr, ponieważ żal mu matki — może wraca skądinąd, inną drogą — bąka z zakłopotaniem żołnierz.

Boże Ty, Panie mój! Gdzież został mój chłopak? — wzdycha.

Wychodzi i wstępuje do Stojanki. Jeszcze przy drzwiach zadrżało mocno jej serce. Oto teraz powie jej Stojanka, że otrzymała pozdrowienie od Stojencza, że przybywa na wilję. Żeby choć jedno dobre słowo powiedziała Stojanka. Nie, milczy. Tylko oczy miała zaczerwienione.

—

Nazajutrz wcześnie poszła Cena do cerkwi. Zmieniła lewa, przysłanego od Stojencza, kupiła gromniczki i zapaliła przed wszystkiemi ikonami na ołtarzu. Wróciła do domu z rozjaśnionem obliczem.

— Tak czy owak, dziś będzie tutaj; przecież jutro jest Boże Narodzenie... nie może być inaczej — szepnęła. — Święta Boża Rodzicielko, przyprowadź mi go, anioła mego... Jezu Chryste, pociesz mnie!

Nadbiegła Kina i zawiadamia, że wrócili też inni chłopcy ze wsi. Stara Cena spochmurniała.

— Dosyć mi naprzynosiłaś wiadomości o drugich, ale śpiesz się i przywitaj brata, jak to robią inni ludzie — zawołała gniewnie.

— Mamo, i jabym chciał iść z siostrą! — zawołał Radułczo.

I dwoje tych dzieci pobiegło wgórę na śnieżną ulicę, a z niej weszło na szosę, na pole.

A matka Cena stała przed drzwiami, by go tu witać.

Wiatr zawiewał chłodem z gór. Wzgórza, doliny, równiny pobielały od śniegu. Niebo zachmurzone. Czarne stada gawronów przelatują nad drogą lub siadają na nagich wierzchołkach drzew. Tu i owdzie na szosie, która się ciągnie wzdłuż Ichtimańskiego wąwozu, czernieją gromady dziewcząt, dzieci i starszych kobiet, które wyszły na powitanie, żołnierze bowiem wracają jeszcze: jedni sami, inni ze swoimi. Kina i Radułczo minęli pierwszą gromadkę, przeszli obok drugiej, minęli trzecią i odchodzą coraz dalej. Chcą pierwsi zobaczyć i pierwsi powitać Stojencza. Z pewnością poznają go odrazu zdaleka, choć śnieg, który napadał, zasłania im widok. Droga wznosi się wgórę i ginie za wzgórkiem. Nic nie widać. Kina i Radułczo wyszli na wierzchołek, tam wiatr wieje silniejszy i przenika do szpiku kości. Daleko na zakręcie ukazało się dwóch żołnierzy, obsypanych śniegiem. Nie widać Stojencza.

— Hej, czy tam z góry idą wojacy? — spytała Kina żołnierzy
— Nie wiemy, dziewczyno. Na kogo czekacie?
— Na brata! — odrzecze Radułczo.
Zmęczeni żołnierze poszli swoją drogą.

Kina znów patrzy dalej. Zimno im obojgu — i ona trzęsie się cała, a Radułczo dygocze, ale przecież brat idzie — muszą czekać, bo mama będzie się gniewała lub się zapłacze, gdy go nie przyprowadzą.

Ukazuje się powóz, siedzą w nim dwie osoby zakapturzone i obwinięte w ciepłe kożuchy. Kiedy pojazd podjechał do nich, Kina stanęła na drodze wprost konia.

— Panie, czy idzie wojsko z góry?

— Nie wiemy, gołąbko — odpowiedział jeden z podróżnych, podniósłszy kaptur, i spojrzał ze zdziwieniem na poczerwieniałą i zsiniałą od mrozu dziewczynę.

I powóz pomknął pędem nadół.

Dwoje dzieci zostało jakby przykutych. Godziny mijają. Wiatr górski się wzmaga, bije po twarzy, rozwiewa ubranie, śnieg pada płatami i zbija się w kłęby, ale dzieci nie odchodzą. Wbiły one spojrzenie w zakręt i patrzą, czy nie zaczernieje wdali żywa istota. Nagle zabiło serce Kiny. Ukazała się konnica, i droga zadzwoniła od kopyt. Tylu żołnierzy! Z pewnością i brat jej znajduje się między nimi. Ona czeka bez zmrużenia oczu. Konnica nadjechała, przemknęła z szumem mimo nich i zniknęła woddali. Dziewczyna skinęła na dwóch oficerów, którzy jechali nieco ztyłu na koniach.

— Kapitanie, czy wraca nasz brat? — pytała przez łzy.

Oficerowie wstrzymali konie i spojrzeli ze zdumieniem.

— Któż to jest twój brat? — spytał jeden.

— Brat Stojan! Nasz brat Stojan! — zawołał niecierpliwie Radułczo, zdziwiony, że ten pięknie ubrany kapitan nie wie, że Stojan jest ich starszym bratem.

— Który Stojan? — zapytał powtórnie zakłopotany oficer.

— Stojenczo z Wetren! — odpowiedziała przekonywająco Kina.

Oficer zamienił kilka słów z towarzyszem i, pełen współczucia, zapytał:

— Czy brat jest kawalerzystą?

— Tak, tak! — odpowiedziała dziewczyna, nie rozumiejąc pytania.

— Niema go z nami, dziewczyno!

— Ajże, wróćcie do wsi, jeszcze zamarzniecie tutaj — rzekł drugi.

Oficerowie smagnęli konie i odjechali za swym szwadronem. Kina zalała się łzami i Radułczo zapłakał. Nogi i ręce zdrętwiały im z zimna, policzki posiniały. Przed ich oczami rozciągała się cała szosa — była już zupełnie pusta. Ludzie porozchodzili się do domów, ponieważ miało się ku wieczorowi, zapadał mrok i wiatr ciął coraz ostrzej. Tylko konnica czerniała jeszcze wdali, ginęła coraz bardziej, a wiatr przyniósł do uszu dzieci wesołą żołnierską piosenkę. Wtedy Kina i Radułczo zawrócili do sioła.

Zapadała noc. Wracały dzieci, wsunąwszy ręce w pazuchy, i kwiliły zcicha, i myślały o matce, która czeka na nie przed drzwiami chałupy.

Znów zaturkotał za niemi powóz, zaprzęgnięty w trójkę koni, pędzący ze wzgórka.

— Panie, czy wojsko idzie jeszcze?

Powóz przemknął obok nich — i ni słychu, ni widu w ciemności.

A śnieżna zawieja rozigrała się strasznie. Zdawało się, że ona odpowiada dzieciom. Szła z zachodu, od pól bitwy, stamtąd, gdzie w winnicach przy Pirocie zasypała teraz mogiłę Stojana.

Tłum. Józef Gołąbek.

PENCZO SŁAWEJKOW
(1866—1912)

MODLITWA

O, Panie mój, nade mną podnieś dłoń
i ukoj duch, spokoju wiecznie głodny;
daj łaskę mi, bym Ciebie stał się godny.
Jam sługa Twój, którego, Panie, chroń.

Tchnij wiarę znów w popioły duszy mej,
co ziemskich trwóg męczarnią jest zmożona.
Gdy w jeden mig na wieki urodzona —
Ty drogę w krąg rozjaśnić duszy chciej.

W mej duszy rdzeń wbił szpony demon zły,
ów demon zły uporu i zwątpienia,
i prawdy w niej ugasił święte skry
oddechem swym złowieszczym nicestwienia.

Więc zapal w niej Twój płomień — aby tam
na nowo wstał z popiołów prawdy chram.

NAD NIM DZIEŃ ŚWITA...

Nie trzeba mówić mi, że mój rodzinny kraj
jest biedny, że ma przeszłość mało sławną.
Każdemu bo w to graj,
i każdy wie to dawno.

Przeszłości nie ma on, grobowca przeszłych dni,
nie szuka chluby w szczątkach i ruinie,
co sławą bojów lśni —
on pustki ma jedynie.

Bohaterstw, czynów blask, laurowych wieńców zwój —
kronika o tem ludzi nie oświeci,
i wielkich piewców rój
ta sława czyż podnieci?

I tylko głuchy jęk, płynący z dawnych dni,
jako z głuchnącej burzy, posłyszycie...
Na nowy los, wśród ćmy,
dolata wichru wycie!

I dumny wicher ten ożywczy wniesie wiew;
zarazy precz z martwego pola zbiegą.
Nie będzie liścia drzew,
od wspomnień więdnącego.

Nad mój rodzinny kraj wyrasta lśnienie zórz,
i zgiełk, i drżenie z niego idzie,
by dzień zajaśniał już —
i życie w dzień niech widzi.

I niechaj chełpią się żywotem, co był wprzód,
ci, którym oczy jedwab klei —
ja na rosnący wschód,
pożywczy karm nadziei,

gdy patrzę — widzę już, jak grzeje z górnych lśnień...
Śmierć dawnej sławy w byt rozkwita:
przed tamtą głębszy cień,
a nad nim dzień już świta!

Tłum. Antoni Bogusławski.

PETKO TODOROW
(1879—1916)

NAD CERKWIĄ

Wszyscy wiedzą, że cerkiew rozdzieliła ich za młodych lat. Kiedy w jednym dniu zamknęli oczy, ni pop, ni epitrop nie pozwolił zakopać ich razem, aby i tam nie zmieszała się ich krew rodzinna. Bo gdzież kto słyszał i widział, aby chrzestny ojciec kochał swą kumę.

Milcza zakopano na prawo od cerkwi, Jankę na lewo — cerkiew rozłączyła ich serca, niech ona dzieli ich i na tamtym świecie...

Ale upłynęło czasu niewiele, a cudem bożym nad grobem Milcza wybujał zielony brzost, a nad grobem Janki cienka topola.

I kiedy na wiosnę potajemnie ledwo zaglądały pod okapem cerkiewnym, by się powitać, teraz brzost rozwinął wolno gałęzie nad dachem i topola poszła wgórę, tak że zdało się, iż wierzchołkiem swym sięgnie nieba. Skurczyła się między niemi stara wiejska cerkiew. Spokojnie drzemiące naokoło krzyże i kopułki spojrzały na siebie: to, czego im nie pozwolono zrobić za życia, teraz ci młodzi szaleńcy sami robią, nie pytając się nikogo.

Nie zważa na nic zielony brzost, wyciąga gałęzie ku krętym gałęziom topoli. Jakgdyby nie śmiała spojrzeć na niego topola, a ciągle łamie gałązki i schyla wierzchołek wstydliwie całemi dniami. Cerkiew stoi między niemi! Czyto tak łatwo złamać wiarę, czy łatwo machnąć ręką na stare prawa?

Zapadła cicha noc. Jasny miesiąc zamyślił się na niebie, a koło niego zaroiły się gwiazdy i wszystko zamilkło wokoło. Zaszeptał znów niezrozumiałym szeptem brzost i wyciągnął ramiona ku cienkiej połowicy-topoli. Zadygotała cała topola — miesiączek patrzy na nich i gwiazd roje z nieba. Jak przełamać wstyd?

Minęła i ta noc, pierwsze koguty już pieją, a drzewa tej nocy znowu nie mogą zbliżyć się ku sobie i dotknąć gałązkami.

Aż niby na ukojenie, gdzieś we wsi, ktoś młody, zabłąkany, zanucił przeciągłą pieśń:

Opustoszały, matko moja,
Puste już cerkwie,
Oniemieli popi...
Głęboka woda nie ma brodu,
Piękna dziewica nie ma rodu!

Wsłuchały się drzewa i westchnęły szerokie gałęzie brzostu, nachyliła topola wierzchołek.

Ale pierzasty obłok, pędzony szumiącym wiatrem w późną noc, zacienił nagle miesiąc i rozgłośnie zaszumiał brzost. Zadygotała topola, jakby jej pociemniało w oczach, nagięła się i namiętnie dotknęła się brzostu. I zanim przyszła do siebie, zanim podniosła gałęzie, nagle cofnęła się, wyprostowała i cała zadygotała.

Przez pierzasty obłok zaglądał księżyc, zbladł, jakby sobie nie wierząc, i stanął naprzeciw nich. Nadole, na cmentarzu znów się wyprostowały krzyże i kopuły, by dalej podpatrywać je i obmawiać... Patrz, jak wpijają oczy ku nim... i całą noc nie zdjęły z nich swych spojrzeń.

Gdy zabłysła zorza, załamany dach cerkwi, niby stary opuszczony grób, oblał się wilgotnemi łzami — łzami rozłąki.

Tłum. Józef Gołąbek.

DORA GABE-PENEWA
(ur. 1886)

WAWEL

Dworzyszcza, chramy trwają tam od wieku,
milczenie wzięły w pierś od mnogich lat.

W ich wnętrza łonie — śpi tajemny świat.
— Powstrzymaj krok i wolniej idź, człowieku!

W podziemnych sklepieniach śnią królewskie kości,
lśnią sarkofagów cenne czasze.
Nad
prochami, w rzeźbie swych monarszych szat,
rząd nieśmiertelnych, acz przelotnych, gości.

Lecz tam to serce bije — serc podnieta:
sarkofag gładki, prosta cela, zmrok,
światełko pełga, patrzy słodki wzrok
Najświętszej Matki...
Spoczął tam poeta!

Pół-dzień świetlisty nad nim i pół-mrok,
i czuwa z zewnątrz Wawelu sylweta.

Tłum. Antoni Bogusławski.

MIKOŁAJ RAJNOW
(ur. 1889)

Z «KRÓLOWEJ ACHINORY»

Jestem Achinora, żona Asparucha, królowa Bułgarji.
Jestem ciemnem przeznaczeniem całego królestwa.
Jestem nieszczęśliwą ofiarą całego narodu.
Dlaczego mnie budzicie?...

...Przyszedł jednego wieczora w dworzec wieszczek — białowłosy starzec, imieniem Kardam.

I wziął srebrne sito, nasypał w nie zbożowego ziarna, wyszeptał cicho słowa drżącemi usty — i rozdzielił ziarna ostrzem miecza.

A potem zapali czarną smołę, zamyśli się — i uczyni nad sitem dziwny ruch rękoma.

I rzeknie do króla:

— Wielkie carstwo ugruntowałeś! Silne dłonie władać niem będą od szczytów do bezdni i od zachodu do wschodu. Dni górnej chwały przeżyje twój naród, królu! Rozdzieli łup, łupem sam się stanie, a potem nowy łup zdobędzie.

Stary Kardam się zamyślił — a potem powiedział gromkim i uroczystym głosem:

— Niech osłania twój naród Ten, którego głos słyszę!

A potem rzekł cicho:

— Zali wiesz, co On powiada? «Krwawej żertwy żądam» — mówi On — «krwawej zemsty, bym mógł zachować od poguby twój ród!» Tako powiada On! A ty — czy posłuchasz, królu?

Zamilknie rapsod i spuści oczy.

A król zapyta:

— Rzeknij, starcze, kogo ma przebić twój ofiarny nóż! Rzeknij, czyje serce ma spłonąć na stosie!

A wtedy starzec Kardam wyciągnął srebrną płytę, pogrążył ją w krużu z wodą, wyszeptał słowa i znów ją wydobył.

I rzekł potem do króla:

— Czyj obraz widzisz tu?

I spojrzy Asparuch na błyszczącą płytę.

Widziałam, że oblicze jego zbladło, a usta zadrżały...

— Czy to nie złudzenie? — spyta trwożliwie.

A wieszcz odpowie głucho:

— Nie łudzi Ten, który cię prowadził od dzikich stepów, aby ci dać naród i ziemię! Krew przelałeś za ziemię — krew trzeba znów przelać za naród, który ją zaludni!... Czy przejęło cię trwogą, że, co ci najmilsze, złożyć musisz w ofierze?

A król Asparuch odpowiedział:

— Nie trwożę się tem. Ale — czy niedość krwi tych, którzy ją przeleli po onych cudzych górach i polach, czy niedość — najdroższej naszej krwi?... — Czy zamierzchła wspólność nie zaczęła przemawiać w duszy tych naszych byłych braci? Czy nie zakipiała w tych zamarłych żyłach rodzinna wspólna krew? — I naco potrzeba stawić przede mną nową próbę — czy nie byłem gotów dać choćby samego siebie? — Czyto raz niejedna strzała leciała przeciw mnie — czyto jedna kopja zadzwoniła naprzeciw mego serca — czyto jeden miecz szukał ze zwodnym dźwiękiem mej głowy, którą chciał rozwalić?... Ale ninie... tak — droga mi ona: — kocham ją więcej, niż siebie... poco kłamać? — Tak — — — tyś dobrze zrozumiał! — Czy była konieczność, żeby i krew kobiety zrosiła stos, od którego zapłonie ogień nowej wiary i nowego porywu?...

...Wtedy przejrzałam wiele — i przed oczyma memi zaplotły się czerwone obłoki — i podcięło mi nogi...

A potem wróż Kardam ściśnie szczęki i odezwie się dziko:

— Nie pytaj mnie: pytaj bogów! Zali moje słowo wieszczą moje usta?... Tyś zaczął dzieło, a teraz stanąłeś w połowie. Ty sam złączyłeś w jedną całość porozrzucane swe plemiona: — nie może nikt za ciebie składać ofiary! — — — Ale — widzę: sprawiłem ci boleść!...

Wówczas król skinął ręką i rzekł:

— Niech się stanie.

...I zebrał się nazajutrz przed wschodem słońca cały naród w świętym gaju.

A król Asparuch chwyta mnie za rękę i prowadzi mnie. — Nie wiedziałam, dokąd mnie wiedzie.

Aliści — ujrzałam łzy w jego oczach — a jego policzki drżały...

A w środku gaju wznosił się stos, i młodzież czekała z pochodniami na ofiarę. Przed wyniosłym stosem stał stary Kardam. W ręku jego błyszczał miecz.

...Kiedyśmy doszli, rozstąpił się naród, byśmy mogli przejść.

A gdyśmy stanęli u celu, król przygarnął mnie do siebie, pocałował mnie czule długim pocałunkiem — i rzecze do proroka:

— Przyszła ta, której żądali bogowie — którą wybrali z pośród całego narodu!

Król mówił twardo, ale płacz taił się w jego głosie — i łzy, niby kamień, ciążyły w jego gardle.

I — ja pojęłam wszystko... Zadrżałam na całem ciele, jak przerwana cięciwa.

Przed memi oczyma zakręciła się cała ziemia i kędyś się pogrążyła.

...Kiedy wróciłam do przytomności, uczułam rękę króla, którą mnie podtrzymywał.

Przede mną stał cały naród — i wszyscy pałali miłością ku mnie: — och, wiedziałam o tem!

I wtedy nabrałam odwagi i wyprostowałam się przed nimi — dumna i gotowa na śmierć.

Ale nie mogłam myśleć, nie rozumiałam nic, nie pamiętałam nic...

Przed oczyma mojemi zajaśniał barwny obraz mego życia — wydał mi się on pełen uroku, czaru i szczęścia.

A tam przede mną czekał teraz cały naród, by ujrzeć wściekły triumf płomieni...

Widziałam ogniste oblicze śmierci, czułam wprzódy ostry ból noża — ciepło bryzgającej krwi i chłód wbitego miecza.

A potem przejmujące znużenie podcięło moje członki, krew moja zmieszała się z dymem płonącego ludzkiego ciała, ręce mi obwisły, niby odcięte w czas wściekłego święta wyniosłych płomieni.

Wielka krwawa ściana dzieliła mię od chwili mego ostatniego szczęścia, mej wielkiej namiętności, mego ostatniego małżeńskiego splotu.

...A tam, za tą ścianą, stała śmierć: — ogromna, dzika, władna!

Rozdarło się ciemne płótno przed memi oczyma: spadły wszystkie zasłony życia; uczułam, że dusza pierzcha nieśmiało od tamtej strony życia, od tamtej strony śmierci.

I postanowiłam.

...A oni czekali.

Wieszcz Kardam, surowy i zimny, stał tam, przed stosem ofiarnym, a w ręce jego błyszczał szeroki dwusieczny miecz...

Podeszłam do stosu — i poczułam chciwy uścisk płomieni.

I sama obnażyłam swoją pierś — znalazłam serce — i rzekłam do wróża:

— Przystąp: oto tutaj!

I widziałam, jak zadrżał cały naród — i odwróciłam oczy, kiedy wieszczek podniósł nóż.

A tam, pięć stóp ode mnie, stał Asparuch — dumny władca, który wodził na mnogie boje swój lud — i widział, jak mrą tysiące.

A kiedy Kardam dotknął mieczem mej piersi, i lodowaty ból wtrząsnął mem ciałem, widziałam. że Asparuch szczyt swój dźwignął przed swoje oczy — niby zasłaniając się, by nie widzieć mej śmierci...

A kiedy ciepła krew trysnęła z rany — i po mojem ciele rozlało się lekkie znużenie, podniosłam zmęczone oczy na władcę i widziałam, jako zadrżała jego ręka — i jak upuścił swą tarczę...

Był on blady — blady, niby trup...

Tłum. Józef Gołąbek.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.